MŁODOŚĆ

Czasopismo illustrowane, poświęcone sztuce i literaturze.

Rok II. Zeszyt VII.
Lipiec. Sierpień 1900.
Kraków.

TREŚĆ ZESZYTU VII. „MŁODOŚCI“:

MŁODOŚĆ

MIESIĘCZNIK
LITERACKI i ARTYSTYCZNY
WYCHODZI W KRAKOWIE W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA.
PRENUMERATA KWARTALNA WYNOSI:
W AUSTRYI: 2 KOR. 40 HAL.
ZA GRANICĄ 3 KOR.
CENA JEDNEGO ZESZYTU 1 KOR.
ZESZYTY OKAZOWE WYSYŁA SIĘ NA ŻĄDANIE ZA ZALICZKĄ.
ADRES REDAKCYI:
KRAKÓW, GOŁĘBIA 16. II. P.

Bibl. Jag.
1950 Cz. D. 513



K. LASZCZKA

Oto i przyszli nasi Felibrzy *).

Przyszli z pod gór, z Roztoków, z pod dzikich Gorców, z pod Turbacza, z pod Gewonta, z całego Podkarpacia, z kamiennej ziemi krwawej nędzy, rezygnacyjnego smutku, ale i szerokiego, skrzydlatego polotu ducha. Kilku ich jest, ale dziwnie śmiałych, pewnych jutra, tęgich bojowników niczem nie jarzmionej prawdy, idących w literaturę, w społeczeństwo, a więc senną i sapiącą z przejedzenia apatyę ogółu z twardo wytyczonym celem, z świadomością żywiołowej, niespodziewanej siły ducha i umysłu twórczego, z ognistą skargą na los i z fanatyzmem prawdy.

Prowadzi ich Frederic Mistral naszego Podkarpacia, chmurny Orkan, a więc rękojmia dla przyszłości, że wszyscy przejdą orkanem przez ten Ocean Spokojny naszej konwencyonalnej literatury, że zmiotą raz wspólnemi siłami z mózgownic filisterskich to śmiecie przesądów, zabobonów, fałszywego sentymentalizmu i niemowlęcego optymizmu w sądzeniu, w uczuciach i stosunkach do chłopa. Orkan, Jedlicz i Andrzej Stopka to jedna z piękniejszych niespodzianek, jaką w ostatnich latach sprawił nam duch opiekuńczy naszej literatury, tak miła niespodzianka, jak Żeromskiego „Ludzie bezdomni“, jak Przybyszewskiego „Dla szczęścia“, jak oktawy dramaturga Wyspiańskiego w „Kazimierzu Wielkim“ i „Bolesławie Śmiałym“.

Jeszcze nie zginęła! musi się zakrzyknąć z serdeczną radością, kiedy ma tylu i tak różnych duchem ofiarników, kiedy w prozie jest taka górna, chmurna, syntetyczna, plastyczna, spiżowa, a w poezyi taka sielska, anielska, eteryczna, muzyczna, szczerozłota; jeszcze nie zginęła twórczość Piękna w piśmiennictwie, które tak długo obsiewali kąkolem i chwastem Baluccy i Gawalewicze, jeżeli obok najskrajniejszych, najkonsekwentniejszych estetów-poetów, zamykających się w wieżach z kości słoniowych, obok cyzelerów najmisterniejszych bibelotów pięknej formy, obok Tyrteuszów salonowych i rokokowych Manfredów ma już i „synów, z ziemi porodzonych“ i ot takiego Orkana, Jedlicza i Stopkę.

---

*) Redakcya zaznacza, że nie godzi się ze wszystkimi poglądami Szanownego Autora.

Ci bowiem trzej pochodzą także z wielkiej rodziny duchowej, której praojcem pessymizm prawdy życiowej, a pramatką niczem nie ukarmiona, nigdy nie milcząca, tęsknota wolności, bezwzględnej niezdefiniowanej, nieuchwytnej wolności. Nie jest to w nich pessymizm, wyczytany nocami z żółtych tomików Schopenhauera, ani poddanie się buddyjskiemu fatalizmowi, w jakiego skarbach przebierają blademi rękoma młode, zbankrutowane życiem i użyciem snoby europejskie, nie jest to moda literacka, ani kokieterya z społecznictwem, nie jest to gromadzenie wybuchowego materyału destrukcyi, ani posiew burzy rewolucyjnej, ale to bezwzględna szczerość, nigdy senna obserwacya, smutne codziene doświadczenie i wielkie ukochanie nad miarę tego ludu, z pośród którego nędzy i zabobonów, niby łagodzących nędzy okrucieństwo, ci poeci z granitowej ziemi porodzeni wyszli.

Kiedy nieraz słota trwa i dwa tygodnie, z dalekich lądów zleciały mgły i przysiadają tę krainę głazów i kosodrzewia, rozścielają się po mokrych ziemniaczyskach, porosłych wcześnie łopuchem i mleczem i przeganiają po ugorach i tłokach, kiedy zbity deszczem nędzny, nikły owies leży z błotem na polach, siecze woda w szybki chałupy, izba pełna białego, gryzącego dymu, w boisku ani źdźbła, ani bobu, ani grochu, a zgniłe ziemniaczyska i garść łup z rzepy, kiedy w obórce porykuje płaczliwie głodna krasula, a dzieciska „sobace psiepary“, stulone w kącie pod piecem, żebrzą co jeść, kiedy „zid wereda“ odmówi „borgówania“, to w małem chłopięciu o lnianych włosach, zgrzebnej koszulinie i dziwnem spojrzeniu ócz przedwcześnie wyblakłych przedwczesny jawi się smutek i powaga wiekowego doświadczenia całych pokoleń górskich nędzarzy. I takie małe chłopię, któremu za kilkanaście lat przypadek włoży pióro w rękę w chwili samotności i natchnienia i unieszczęśliwi na całe życie anachronicznem posłannictwem poety, małe góralątko już patrzy bystro, słucha ciekawie i wierzy głęboko i gorąco w „Poniezusa“, w święte przykazania, w nie kradnij, choćby ci matka z głodu marła, w nie zabijaj, choćby ci siostrę zhańbiono, w pamiętaj, abyś dzień święty święcił, choćbyś pracą w ten dzień mógł dzieci uratować od konwulsyi śmierci głodowej. Wierzy...

I kiedy na przednówku wieczorem nad całą wsią przeleci wampir nędzy i suchemi, żółtemi skrzydłami potwornego nietoperza dotknie wszystkich pazdurów i syknie złośliwie nad każdem opustoszałem gospodarskiem obejściem i zniknie gdzieś w szczelinach skał, a może w „Zdekłem“, kiedy u najbogatszego gazdy niema co wziąć do ust, lud falami zalewa drewniany kościół, ciżba w świątyni, duszenie, płacz, organy, jęki i przejmujące supplikacye... wtedy w smukłym i giętkim niedorostku budzi się bunt, żądza zemsty, krew zapalona wzbiera, kurczą się pięście, w głowie biegają z hałasem płomienne myśli, refleksye, wątpliwości

i w naiwnem, brutalnie naiwnem: „Kaz ta zaś ten Poniezus, kaz?“ wybiega na szeroką wolność więziony formułkami dziecinnemi sceptycyzm, odtąd już, jak Vergili Dantemu, towarzysz, wiodący poetę przez piekło nędzy dusz i czyściec biedy, głodu i chorób rodzimego otoczenia i społecznego środowiska.

A kiedy jeszcze dojrzały krytycznym umysłem, wykształcony na szerokim świecie o szerokich horyzontach uczucia i majaczącej w dalekich perspektywach idei ogólnego dobra i szczęścia młody poeta wróci między swoich i odczuje ten twardy, nieugięty materyalizm i utylitaryzm chłopa-nędzarza, kiedy go dotknie do żywego, obrazi i zrani to wszystko, co jest w chłopie z niewolnika, z heloty, z barbarzyńcy, kiedy go uderzy w głowę obuchem płaszczenie przed dziedzicem, podchlebianie bogatszym, psia pokora przed władzą i jej najśmieszniejszymi symbolami kiedy w szalony śmiech wprawi go indyański kult fetyszów religijnych, a w konwulsyjny płacz zwierzęca brutalność względem ciężarnej kobiety, kiedy potem, wyleczony z sentymentów współczucia, poobserwuje najbłahsze, a zobaczy monumentalne, ogłuszające symptomata podłości, nikczemności, zbrodni, kiedy widzi, że pod berłem takiej wszechpotężnej nędzy nawet tak mądrze skonstruowana religia ani w najdrobniejszych odruchach nie złagodziła wybuchających instynktów, wtedy, jeśli chce wypowiedzieć się i dać na papierze swoje indywidualne wierzenia i ideały na tle tego świata, z którego wyszedł, z którym współczuje i który ukochał nad miarę, wtedy... nie może być optymistą, nie może.

Nie trzeba tracić nadziei, że czarodziejski wąż optymizmu, przewalający się wygodnie w fejletonach gazeciarskich, którego koronowaną głową jest Henryk Sienkiewicz, a małym ogonkiem Lucyan Rydel, że wąż ten róść będzie w nieskończoność i nieśmiertelność, karmiony mózgiem filisterskim i okadzany kadzidłami oficyalnych impotentów potencyi krytycznej. Nie jest optymistą ani Weyssenhoff, ani Kisielewski, tak jak i nie jest nim Orkan. Uwieńczyła go krytyka perukowana i zatabaczona przezwiskiem: pessymisty, co znaczy, że na świat swój śmie patrzyć taki Orkan przez czarne, albo w każdym razie zadymione szkła i że przez te czarne szkła widzi fioletowy nos lub lubieżną kokieteryę u osób, poświęconych stanowi kapłańskiemu, zwierzęcą dzikość w pijanym chłopie, złodziejski spryt w małym już „hyclu“, niepohamowaną niczem namiętność zysku w całych rodzinach itp. Niepotrzebny, niepoprawny, niepowstrzymany niczem Orkan daje z swego chłopskiego otoczenia góralskie Gonerille i Regany, Schyllocka-gazdę, dałby wiejską lady Makbet, kreśli galeryę chłopskich sceptyków, niedowiarków, filozofów próżniactwa, sybarytów-nędzarzy, wesołych cyników, maluje radę gminną, pełną ibsenowskich

podpór społeczeństwa, opowiada walkę krwiożerczą o spadek, przypominającą żywo „Kruki“ Becqua, jest nieubłaganym w psychologicznej analizie satyrykiem, zdejmuje filisterskiemu, głupiemu mieszczuchowi bielma fałszywego sentymentalizmu z oczu, bez żadnych „ale“, bez żadnych „chociaż z drugiej strony“, bez żadnej połowiczności, skrupułów estetycznych, bez względów na literaturę, całość kompozycyi, konsekwencyi itp. wczorajsze kanony — no i bez względu na panią macochę krytykę daje swe obrazki, malowane nie w słońcu ale w cieniu, swe fragmenta z życia podkarpackiego, mające wielką wartość i wagę kulturalną, choć może mniejszą artystyczną od wielu arcy-sonetów, które jak mydlane bańki prędko pękają, zostawiając tylko wspomnienie bladych barw i krągłej formy.

Czyż wieś podgórska, czyż Poręba lub Poronin nie jest tylko zmniejszonym wielkim światem, a więc padołem wiecznej wojny ludzkich egoizmów i miejscem starcia przerozmaitych i krwawych, a jak przesubtelnych czasem konfliktów dusznych, także tylko sceną, choć o przepotężnych dekoracyach i akcessoryach, na której biją prawdziwe pioruny w bluźniercę, dźwięczą dzwony umarłemu gaździe, co za życia był biblijnym Hiobem i pali się naprawdę stodoła, podpalona przez złego sąsiada; jak na tle wielkomiejskiem, czy na bezkresnym stepie, czy w atmosferze różowego buduarku tak i na tle wirchów, tuźni i przełęczy: czy przy szumiącym wodogrzmocie, czy w atmosferze gryzącego dymu w szałasie na halach przesuwają się te same maryonetki, naciągane i poruszane niewidzialną dłonią, te same szablony Odysseusza, Antygony, starego Pryama, pięknej Heleny, Kleona, króla Lira, Romea, Julii, Jaga, Kassia, Otella, ba nawet Fausta, Hamleta... Płoszowskiego, tylko inaczej obciosane, inaczej malowane, inaczej smutne, inaczej śmieszne. Ale tu, gdzie życie płynie swobodniejszą, żywszą, czasem rozhukaną nawet falą, gdzie głód występuje jako wściekła potęga, wróg-fatum, stygmat rasy, gdzie sentymenty objawiają się w formach nieskrępowanych i żywiołowych, nienawiść nie nazywa się tylko antypatyą, miłość nie rozsypuje się na epizody i stosunki, ale występuje jak rzeka wezbrana z koryta i zalewa wszystkie inne chęci, myśli, pragnienia i dążności, tu tragedye są więcej tragicznemi, mają bardziej antyczne kontury i silniej też działają w artystycznym efekcie literackiego utworu. Dlatego i podhalańscy autorzy przypominają jakieś reminiscencye z helleńskich „skapanych“ światów, robią wrażenie, jakby to byli przedhomeryccy śpiewacy pięknego jak Grecy ludu podhalańskiego, którzy gromadzą podania i klechdy, skazki i piosenki, zbierają wielki poetyczny skarb, z jakiego dopiero przyszły śpiewak, o którego będzie walczyć siedm miast i siedm dolin i siedm gór, wydobędzie prawdziwy kryształ górskiej poezyi.

Umarł stary Sabała, wajdelota zakopiański, który w dżdżyste wie-

czory urywanym, sennym głosem urodzonego epika opowiadał niesłychane dziwy z czasów pół-bożków, herosów-zbójników, o strasznych Minotaurach niedźwiedziach, o wyprawach Argonautów po brudno-czarne runo niedźwiedzia, o nieubłaganej Tanatos, którą „Poniezus prask w pysk“, ale wchodzi między ludzi A. Stopka, który ma w sobie coś z Hezyoda w swej literackiej fizyognomii, a coś z niemieckiego baccalaureata, doprowadzającego dorosłe dzieci swymi wykładami folklorystycznemi do rozciekawienia i... znudzenia. A. Stopka jest bowiem par excellence narratorem, czasem gadułą objektywnym i aż do przesady niewolniczo chłopskim, epigonem Sabały, ale bez Sabałowej ruchliwości, fantazyi, kolorystyki szczegółów, bez... blagi. Dydaktyka, sumienność niepotrzebna w dochowywaniu szczegółów folklorystycznych, jakiś fanatyzm narzecza, ślepy kult dla gramatycznych ekcentryczności i nadmierne nabożeństwo dla pseudo-świetnych zwrotów i wyrażeń to są młyńskie kamienie jego fantazyi, którą w każdym razie posiada, ciążące balastem belfersko-dydaktycznym i nieartystycznym i na „Sabale“ i na „Rycerzach śpiących“. Oba te zbiorki szkiców i zarysów nowelistycznych są znakomitym podręcznikiem dla gwary kliszczańskiej, dla nauki, ale dla sztuki posiadają tylko wartość surowego, bogato nagromadzonego materyału językoznawczego i etnograficznego, z którego wiele i pięknie skorzystać może. Ale i w tem naukowem podścielisku utworów Stopki z Kościelisk jest wiele momentów opisowych bardzo artystycznych, są fragmenty bardzo literackie dyalogów, są ustępy, z których przegląda szczególnie szczery humor poezyi ludowej, czasem nawet finezya psychologiczna, trafna obserwacya, dobre zestawienie kontrastów, dość udatna kompozycya w całości. Stopka-literat chroma na dydaktyzmie, na absolutnym braku jakiejkolwiek artystycznej indywidualności. Ot jeszcze nie wyrobił jej sobie J. Jedlicz z Wróblówki, ale że już jego literacka fizyognomia zarysowywuje się w szeregach rzeszy Młodej Polski, a że



wnet będzie go można poznać po jednem zdaniu, po jednym typie, scenie, sytuacyi, po stylu, to można wróżyć Podhalowi już teraz, sądząc z nielicznego dorobku literackiego. Jedlicz jest już mniej „góralem“ jak A. Stopka, nie ma żadnych intencyi folklorystyczno-pouczających, nie fanatyzuje się ceremoniałami góralskich uroczystości, ani teatralnie charakterystycznemi scenami z życia ludu, nie traktuje górskiej panoramy jako efektownej literackiej dekoracyi, a chłopstwa, jako ekscentryczne kopalniane *sujets* nowelistyczne. J. Jedlicz jest psychologiem-analitykiem, rewolucyonistą myśli, artystą formy, może jeszcze dyletantyzującym, ale „obiecującym już od pierwszej rzeczy“, od „Korali“. Jedlicza „Prymicyant“ to piękny dowód poprzednich mych słów i fakt literacki, na którym się można oprzeć, wróżąc mu wielką przyszłość. Jako psycholog, obserwator okalającego go życia i to obserwator niestrudzony, zawsze czujny, ciekawy i refleksyjny, ale równocześnie rewolucyonista, więc pessymista społeczny (bo trudno konserwować optymizm w czasach tak ospałych i gnuśnych, jak nasze), ale i umysł już bardzo kulturalny, o szerokich artystycznych horyzontach. Jedlicz wnet może i opuści sferę i milieu swoich tematów, będzie niejako renegatem Podhala, przejdzie z gór w niziny, da może równie smutny, b-mollowy pean na cześć życia w innych warunkach postawionym tragicznym bohaterze, jak jego biedny młody ksiądz („Prymicyant“), ale zawsze zachowa on to doświadczenie, że siły artystyczne do nowych prac można wzmódz, dotykając się tylko jak Anteusz rodzimej matki-ziemi. Syn ludu, Jedlicz, najszczerszym, najeruptywniejszym, bezpośrednim będzie, jeśli z swego ludu będzie brał tragedye i komedye, melodramy i tragifarsy, nie eksperymentując w szerokiem życiu miast, z którego i tak wielu, za wielu z trudnością destyluje epopeje brudu, szarzyzny i znudzenia.

Wprawdzie ten kiełkujący, zielony jeszcze łan twórczości podhalańskiej miał mieć według oficyalnej krytyki pierwszego siewcę w Sienkiewiczu (i jego „Sabałowej bajce“), według innych w Witkiewiczu (i jego „Ojcu nędzy“), przypuszczam jednakże, że dla nich było to tylko artystyczną, egzotyczną igraszką, gdy dla Orkana chodziło tu o życie, o oddanie tego życia, o serdeczne umiłowanie i współczucie z tem życiem. I Pawlikowskiego „Baczmacha“ i Witkiewicza „Na przełęczy“ przejdą do potomności jak „Morskie Oko“ Noskowskiego i mały milion sonetów, jakie rozmaici poeci o rozmaitych porach doby wypisywali nad Morskiem Okiem; wszystko to jednak literatura, powinowactwa z przypadku, artystyczny kult smukłych turni, smukłych smreków i smukłych Krzeptowskich, Walczaków i Gąsieniców. Potężna panorama leniwych zimnych granitów, przesiąknięte ozonem powietrze krystaliczne, ludzie tak przypominający regularnym profilem stare fragmenty Skopasa, a głowy Rodina i Me-

n i e u r a..... ci starzy bacowie z fizyognomiami lordów-dyplomatów, młodzi juhasi, jakby modele do ateńskich świątyń tympanonów, to potężne zmysłowe piękno, które tu na każdej cząstce natury wybiło swe piętno podziałało na intellekt artystycznych jednostek, przybyszów z nizin, zdenerwowanych miejskiem życiem najeźdzców. Rozmaici panowie i panie kochają się w Zakopanem, kochając się i w sobie przy tej okazyi, malują widoczki, piszą sonety i grają na cztery ręce „Morskie Oko“, lub „coś smutnego z „Halki“, byle z czuciem“...

Orkan z Niedźwiedzia, drwiący z kultury zdrowo i uszczypliwie, nie lubi Zakopanego i tego afektowanego taternictwa i tych „Stowarzyszeń ku upiększeniu Zakopanego“ itp., bo on ukochał tych zato biednych, wyżółkłych komorników, i tych dziadów-płanetników, filozofujących nad czarownem źródliskiem i tych „gadkujących“ miesięczną nocą juhasów i ten tłum chłopstwa, cisnący się do wozu, z którego darmo rozdają marną kukurzycę i najbogatszym gazdom na wsi, by nie skapieli z głodu, bo Orkan to nie zblazowany, narkotyzujący się ludem artysta wielkomiejski, ale syn z ziemi porodzony, z mizernej glinowarki, na której wykłuwają się nikłe zdziebka owsu, góral, któremu żal tych lasów, tych turni, tych hal, ogromnie żal... I kiedy w altruiście, w poecie serca Orkanie czuć falującą buntowniczość, śmiałą skargę, widać rękę, targającą zasłony nędzy bezkonwencyonalnie i brutalnie, słychać tony, pokrewne czy to Tołstojowi, czy Adzie Negri, czy Proudhonowi, czy szwajcarskiemu Henckellowi, to Orkan, satyryk ludu podhalańskiego jest bratni duchem Kisielewskiemu, satyrykowi małomieszczaństwa krakowskiego i Weyssenhoffowi, satyrykowi arystoplutokracyi warszawskiej. Dokumenty tego w „Komornikach“, w „Nad urwiskiem“, „Pomście“, „Z tej smutnej ziemi“.

I tu stoi sam... obok etnografa Stopki i obserwatora analityka Jedlicza, pierwszy innowator, który wszelkie sentymentalizmy, dogodne księżom i kandydatom na posłów, zrzucił „über Bord“, nie całuje i nie ślini ludu, nie częstuje go letnią herbatką nowelek, nie deklamuje o ludzie, rymującym się z cudem i szlachtą, nie wymyśla jakichś postaci góralskich, politykujących o Polsce od morza do morza (ku pocieszeniu pań z „Warsiawy“), nie pisze powieściowych żywych obrazów z ludźmi w góralskich „kostyumach“, tańczących ku uciesze histeryczek, siedzących na werandach, „zbójnickiego“ i „króciuśkiego“, ale stojąc nad urwiskiem grożącej nędzy komornicznego ludu, patrzy na tę smutną ziemię i... pomstuje...

. . . . . polanę skosili,
Pana obwiesili —
Haj!...

Ot młody autor z pomazania krwi, nie z pomazania intellektu, Lach serdeczny i ognisty, sceptyk i pessymista, ani nadworny śpiewak pięknych pań i panów, ani faworyt trubadur zakopiańskich „bogocy“, hotelarzy dynastów, ani poeta „charakterystyczny“ „interesującego“ ludu, ale nieubłagany, jak ten halny... Orkan, niesie z sobą gryzącą w oczy prawdę nędzy ludu, słabych przyprawia o bezproduktywne zamyślenie i chwilowy smutek, mocnych zagrzewa do akcyi i pomocy... późnej, oby nie spóźnionej.

A. N. Nowaczyński.

MŁODOŚĆ str. 152.



W. BRZEGA

WŁADYSŁAW ORKAN

TANIEC NAD URWISKIEM.*)

Patrz — nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Śmiertelna, straszna, cicha Noc
Zawisła u krawędzi...

I jedno skrzydło czarne wzdłuż
Po niebie rozpostarła,
A drugie pod się biorąc — tuż,
O skały je oparła...

I tak w milczeniu, pełna dum,
Stanęła nad urwiskiem.
U stóp jej czernią zaległ tłum,
Kotłuje się mrowiskiem.

I w rozpętaniu ślepych mas
Szalonem kołem pędzi —
A przed nim zwolna stąpa Czas
I mierzy dal krawędzi...

*

*) Urywek poematu »Z tej smutnej ziemi...«.

Widzisz na stoku czarny las?
Jak długo stoi, kto wie...
Stoi tak, jak przed wiekiem stał —
I nikt z żyjących już ci nie opowie,
Kto go tam siał...

*

Hej!... nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole...

Szatański jakiś tworzy wir
Ta roztańczona rzesza,
A Noc rozplata ciemny kir
I dołem go rozwiesza...

»Zapomnieć! dalej! wartko! wskok!
Niech ziemia się rozdudni!
Rozbity piersią padnie mrok
I noc się wypołudni...«

»Zapomnieć trosk i łez i krwi,
Ho, dalej! bez pamięci!...
Naród z proroków bożych drwi,
Igrzyska stare święci!...«

»Hej, ognia! ognia! palcie stos!
Niech bogom strzeli w oczy!...«
Huczy wezbranej fali głos
Daleko po uboczy...

*

I stał się każdy krzak ogniskiem,
Płomieniem jałowiec —

MŁODOŚĆ str. 154.

Zda się: pasęcy nad urwiskiem
Idzie kerdel owiec,
Owiec ognistych...
Przez ubocz stromą i pastwiska
Kędyś daleko
Rozchodzi się i rośnie w szałasy,
Które zwolna, pasęcy idąc, pokryły się w lasy
Doznaku —
Jeno dymy za nimi się wleką,
Jakby przy każdym krzaku
Pasterze niezgaszone odeszli ogniska.

*

Hen — nad urwiskiem pędzi tłum
    W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie wiatrów szum,
    Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
    Szalonem kołem pędzi —
Już nad głowami zwisła Noc
    Czas usiadł na krawędzi...

Dokoła zamrok wzdłuż i wszerz
    Otoczył ludzkie plemię...
»Ty, Boże, z nieba ogień krzesz —
    Niech padnie tu na ziemię!«

I pękły chmury — wypadł grom,
    Oślepił tłumne rzesze —
Ziemia dygoce — skały drżą,
    A piorun ogień krzesze...

Z rozdartych krwawo czarnych łon
Wylata błysk za błyskiem —
Naród szaleje: »Śmierć i skon!« —
I tańczy nad urwiskiem...

Na śmierć! Na zabój! Rozpacz! Szał!
Narodzie szalej, szalej!
Ha! ha! — i strzępy krwawych ciał
Po skałach tańczą dalej...

MŁODOŚĆ str. 156.

ANDRZEJ GALICA

SAMA.

Hanusia miała już wyganiać krowy i zajęła się ku oborze, ale przedtem spojrzała w ulicę, czy Jasiek »od chrzesnymatki« wygnał, bo jak nie.. W samej rzeczy! Nie wygnał jeszcze, choć w każdziutki dzień o tym czasie, a nawet i wcześniej nieraz wygania.

— Cóż ono go tak zbawiło?

Stanęła chwilę, poczekała, ale nic nie widać. Raptem zwyrtła się na pięcie i pobiegła ku ich izbie zobaczyć naocznie.

— Czemuż wy nie wyganiacie? — zapytała »chrzesnymatki«, stając w progu drzwi otwartych, zadyszana biegiem.

— E, bo nima kto wyganiać....

— A Jasiek kany?

— Jaś poszedł z kosiarzami na węgierską stronę... Przyśli — jeszcze nie świtało — ten od Tatara Józek i Kuba z potoka, co to jeszcze z nieboszczykiem na kośbę chodzali — juści: »Pódź i pódź z nami!« Ja mu ta niedoradzała, ale cobyś zrobił? Jak sie uprze, to ani rusz, takie zmolne do roboty, choć przecie jeszcze dziecko...

— Boże! mój rówieśnik...

Postała chwilę w progu, wysłuchała całej litanii narzekań »chrzesnymatki« i odeszła, nie mówiąc ani słowa.

Zdawało jej się tylko, że duży kamień od młynka stoczył się jej na piersi i gniecie. Nieporada oddechu wydobyć...

Zaszła do swojej obory, pospuszczała krowy i stanęła przededrzwiami, jakby do znaku zabaczyła, kany, którędy, w którą stronę ma te krowy gnać.

Zajęła je nareszcie i pognała ulicą kamienistą, potem drożyną wąską ponad potok, pomiędzy owsiska.

Pierwszy raz wygania sama... Tak jej się dziwnie zdawało! Nie poznawała drogi, ani pola — wszystko się odmieniło do znaku — za jeden dzień... Zdawało jej się, że niebo wisi tuż nad głową i cięży okrutnie...

— Taka duszność w tem powietrzu, taka ciężka mgła!

Deszcz drobny, gęściuteńki sypał się na trawę, na jałowce, na skały, i oślimaczał wązką drogę ponad potokiem.

Zaodziała się lepiej chuściną pocześną i stąpała, przychylona, w mokre ślady krów, które szły — jedna za drugą — prosto na ugory.

Doganiała już do miedzy pustego ugoru, kiedy wrona przeleciała we mgle nad jej głową i zakrakała wyraźnie trzy razy. Dziewczę zadygotało z przestrachu.

— Musi coś wróżyć...

Przeżegnała się nabożnie dla oddalenia nieznanego...

Dognała do miedzy. Krowy, zgłodzone, chwyciły się trawy, a ona siadła, zachylając się od deszczu, przy opuszczonej jedli, która tu rosła sama.

— Sama... on poszedł... nawet nie powiedział...

Nie rozumiała ino, czemu jej tak ciężko, tak smutno i bolesno, jak nigdy przedtem.

Mgła zniżyła się ku ziemi; poczęła zwolna osnuwać jałowce szarą, wilgotną przędzą i rozwłóczyć się po trawie długą pajęczyną, aż omotała całe pole i miedzę — doznaku.

Krów nie było widać...

Nie widać nic.

Słychać ino było z za potoka, od skalistej grapy nawoływania wron gromadne, przeraźliwe, głośne. Skoro zaś te ucichały, dolatywał od uboczy niewyraźny śpiew. Ktoś zawodził tam żałośnie. O, znowu to samo...

»Pokochalimy sie,
Kieby gołąbecki —
Heej!... Ozlecielimy sie,
Kieby jaskółecki —
Hej!... ozlecielimy sie.«
. . . .

Płacz głośny zagłuszył śpiew — nie słychać już nic, ino jeden płacz samotny, płacz nieutulony,..

We mgle, przy samej, opuszczonej jedli.

MŁODOŚĆ str. 158.

ANDRZEJ STOPKA.

HOLNY.

Nie naski on człek był. Jego ociec siadowoł het prec za górami, za lasami, za morzami, za wodami.

Kraj to tam straśnie gorący, a telo biedny, ze juz ludziska, co w nim siodujom, ani hałup nijakik nimajom, ani odzienia godnego a sprawnego nie nosom, ba, ino nadzi hodzom, a telo som jest nicosiekali, ze sie do słonka wygrzewajom, coby im jesce cieplej było.

Juści tam przilatujom od nos ptoki seleniejakiego fajtu. Tozto roz przileciała tam barz piekno jaskółka i poznała sie ś nim, bo tam bez całe zimowisko ostała i jaze na wiesne do nos znowa odlecieć miała.

Juści, jakoto baba, zaroz mu zacyna śklić i dudkować tak a tak, jeze som jest u nos takie strasecnie piekne gory, lasy, kraje, miasta i wsie, a ludzie w nik siedzom taci bioli, jak syr.

Rózności mu napedziała ona jaskółka.

A pote go pozywała ze sobom, jak ino wiesna nastanie i ciepło sie jakie takie zrobi tam w tym kraju.

Tozto ten corny parobek zalubieł jom i nie wiela myślęcy poleciol ś niom bez wiedzy ojców swoik do onego kraju, co my w nim siedzimy, jak ino śnieg zacon shodzić poleku.

Lecieli, lecieli długo nie krótko, jaze przilecieli w nase góry, juści jej ten corny tak pado:

— Zelzijze, dziewko, bo jo sie strasecnie zlecioł, a telok słaby w nogak, cobyk ci i umrzyć do cna móg, a ni miałabyś mie ka pohować, bo tu nima ziemie, ba ino sama skała na skale i ni mas, kaby jakom doline lebo grób wykopać. Jakby zaś, trzez Boze, jakie horościsko na mnie przisło, toby mie tak zmogło, zebyk sie długo ni móg otawić, a tybyś se mnie ni miała hasnu nijakiego.

I tak ostali kwilke krótkom nie długom i wypocyni końdek.

Jaze co sie nie robi, poźre ten corny parobek na dół, ano widzi krowicki przepiekne i owiecki na holi, a no kozicki przeskakujom śtyrbne miejsca, a potem słysi, jeze wtosi obzywo sie na holi i ludzkim głosem przepieknym tak wysko, a śpiewo, co jaze giełcało po reglak, a za duse go brało i ciongło dołu.

Juści zeseł poleku dołu i poźre, a tu przepiekno juhaska pasie to bydełko i śpiewo do niego coroz to inksom śpiewke.

On sie jej przipatrzuje i telo sie mu zwidziała, co jom mioł wielgom mature odrazu wziąść i pobośkać. Ale se tak myśli:

Zelzem końdek, coby sie mie nie przelękła, bok corny.

I zachodzi z jednej strony i przyziero sie, zachodzi z drugiej strony i przziero sie.

— Ę, ha, byłazeby téz ś niej piekno baba.

Jaze go przy tej robocie jaskółka uźre.

Babie wse zoźrość, jušci skoci mu do oci i tak pado:

— Ty głobisiu jeden! To jo cie od ojca i matki uwiedła i tu po to prziwiedła, cobyś ty inksej baby patrzoł? To ty mnie ni mos hę?

A on jej tak pado:

— Nie mielze gębom, babo, po próżnici, bo jo corny i tyś corno, to my sie sobie nie widzimy.

I tak sie swarzyli, jaze zamierkli.

Jušci on parobek uciók w noci dołu ku juhasce, a jaskółka sama pod wantom ostała spajęci do rania, a pote odleciała het prec ku wsi i urobiła se gniozdecko u gazdy na sopie pod kalenicom, ale piskląt od tego casu nijakik nie wywiedła.

A ta juhaska trzimała tego parobka cornego u sobie krótko jak w oklepcu i nika go jus nie puscała; kciała, coby jej hłopem był.

Jušci był jej wierny i juzby jom był nie poniechoł. Śpiewali i grali se, co jaze giełcało po holak i tak to było u nik scęścio dość.

Jaze co sie nie stalo, dojechoł roz stary gazda na holom z obońkami po mleko.

Spotkoł tego parobka. Patrzi, patrzi i nie wie, ki djasci takie corne. Niby cłek, a niby nie, bo je corny. Bo coby baca, lebo juhas jaki trzi roki na sałasie siedzioł i na wyrku nad watrom w dymie spowoł, to telo corny nie bedzie, co ten djasek.

Tozto nie wielo myślęci, łapieł za smrecka, wyrwoł go z korzeniami i zacon te cornom werede prać.

Corny, ze był dobry cłek, tozto sie nie bronił, ino se myśli: Hycić sie go, ci nie. Ale ukwolieł, coby go przetrzimać.

Ale ten nic ino piere i piere. Ni mioł wej ustatkowanio. Bo jak sie wto nie broni, to go bić nima co.

Zacyna go już bronić jego miła, ona juhaska, ale on nic, nie doł jej bronić sie, ino stoi i stoi, a ceko co bedzie; a ociec piere i piere.

Jaze kie widzi, ze ociec sie nie statkuje, wte łapieł za tragarcik w sopie, wyrwoł go, prasnon ś nim starego tak bardzo, co



ST. WITKIEWICZ

juz ani nie zipnon. Telo sie zgniewoł, co sie juz w złości ni móg pohamować nijakim świate.

Juśći łapi jeden smrecek i ze złości go wykróci, łapi drugi, złomie na prag i telo tryjontu po reglak narobieł, coby sie clek temu bez tydzień nie wydziwowoł.

Dahy z hałup het poździeroł i powywoloł dziwture. Przilecioł na dół pod Olcom, hycieł całom wieś, co sie Ząb nazywala, co pierwej tam siadowała pomiędzi Poroninem a Olcom i wyruciel het na wierk i teroz se hań na wierku Ząb siedzi.

On — pado — potem umar, ale duk jego wsc na wiesne przichodzi i robi tryjont po holak, wywaluje chałupy, króci lasy, a po holak straśnie huci. Ę, huci tez i wyje.

W jesieni zaś, kie juz mo iść, to znowa zrobi ludziom krziwde, coby sie pomścić za tego głupiego gazde, co miłowanie wyrwanym smreckiem kcioł wygnać i wytępić.

I tak to bedzie dalej chodzieł, jaze do sędnego dnia, a ludzie go Holnym wiatrem nazywają i straśnie sie go bojom. Haj!

Zakopane.

MACIEJ SZUKIEWICZ

SOMNIUM BREVE.

Toń jeziora modra, cicha,
Melodyjnym żalem wzdycha,
I tak pluska, wabi, nęci,
Taki luby szle mi chłód,
Że bez woli, bez pamięci,
Chciałbym zapaść na dno wód.

Zadumanych świerków rzesza
Czarne kiście nad toń zwiesza,
Wiatr cetyną limb powiewa,
Po kosówkach cicho śpiewa:
»Zostań z nami chłopcze młody,
»Tu się w głębiach skryj,
»W przeźroczystych zamkach wody
»Sennym czarem żyj!«

MŁODOŚĆ str. 162.

Nad zatopy opalowe
Mnich pobożnie wznosi głowę.
Przez uśpiony w chmurze grom,
Przez stubarwny tęczy łuk,
Kornie modli się w kapturze
Wszechistnieniu i naturze —
Modłów jego słucha Bóg.
Z mgieł utkane przywdział czepce,
Tajemniczem echem szepce:
»Zostań tutaj, zostań tutaj,
»Czczy świat ludzi rzuć,
»Tu się ze mną w górach utaj,
»Hymny za mną nuć.
»Nie zacieśni naszej pieśni
»Zimnych świątyń mur,
»Duch przedwieczny z drogi mlecznej
»Posłyszy nasz chór.«

»Do mnie, do mnie — szumi fala —
»Skroń na pierś mą złóż.
»Żar, co serce twe przepala
»I zaziemski smutek dusz
»Zgasną, zasną i ukoją
»Się mą rosą, ciszą moją,
»Że twe serce łkać zapomnie. .
»Do mnie, do mnie, do mnie!«

Czar opętał moje zmysły,
Woli zbrakło sił,
Popatrzyłem jeszcze w słońce,
W kwiaty wkrąg zakwitające,
Potem fale się rozpłysły,
Kryształ wód mię skrył.

*
* *

Długo, długo wiodłem skrycie
Pod topielą ciche życie
W Endymiona śnie.
Tajne groty, fal pieszczoty,
A na niebie miesiąc złoty
Pokochały mnie.

Miałem wszystko na usługi
Śród bezmiarów jasnej strugi,
Nawet wrosłe na dnie głazy
Biegły spełniać me rozkazy.
Jedno słowo — już śnieg pian
W rusałkowy rwał się tan,
Jedno słowo — i już wir
Nucił pieśń zaklętych lir,
Jedno słowo, jeden znak,
W mozajkowy kładł się szlak,
Różnobarwny, lśniący żwir.

Miałem wszystko na rozkazy
Śród podwodnej mchów oazy,
A gdy rybek lud pancerny
Uprzykrzył się oku,
Gdy podskalny śpiew cysterny
Stracił moc uroku
I za światem smętek wzrósł —
Wtedy w łódce z bańki piany
Motyl skrzydeł świetną tęczą
Zaprzężony w nić pajęczą
Po jeziora toni szklanej
W niedojrzaną dal mię wiózł.

Długo, długo wiodłem skrycie
Pod zatopem senne życie,



L. WYCZÓŁKOWSKI

A choć czasem z rudej chmury
Wąż się stoczył ogniopióry,
Fala póty go tuliła,
Całowała i pieściła,
Aż rozbrojon, kornie, skromnie,
Kraśnym wiankiem przypadł do mnie
I u stóp mych się położył,
Skonał gromem, pieśnią ożył.

Długo, długo pod fal strugą
Ciche życie wiodłem skrycie,
Długom roił sen uroczy
Śród błękitów i przeźroczy,
Aż mię z niego obudziła
Niepojęta, dziwna siła

*
*   *

Pomnę — rankiem owym słońce
Niby wiadro gorejące
Lało płynną miedź.
Wiatr się przedarł przez przełęcze,
Na jezioro rzucił tęcze
I po gładkiej rozwiódł toni
Fal zmarszczonych sieć.
Słucham... fala dziko dzwoni
O nadbrzeżny złom,
Dzwoni, szemrze, parska, pluszcze,
Echem się ozwały puszcze,
Jak przewlekły grom:
»Pomnij, że gdy nas porzucisz,
»Mimo jęków, łez i mąk,
»Choć bezdomny do nas wrócisz,
»Nie przyjmiem powtórnie!«
I znów jęknie wszystko wkrąg

I posępne warkną turnie,
A znów na dnie rybki tłumnie
Jakby żegnać mnie przybiegły,
Zewsząd się spłynęły ku mnie
I strwożyły i przestrzegły.
I tak wszystko, wszystko, wszędzie
Dziwne mi stroiło dziwy —
Czułem, że cud wielki będzie,
Że wnet pójdę przez świat żywy,
Poprzez szczęście nieszczęśliwy.

Pomnę... jakby dzisiaj pomnę
Świerk ów i to miejsce święte
I te oczy jej ogromne
I te róże uśmiechnięte
I te włosy, co nad skronią
Złotych koron blaski ronią,
A na czole smutnem, bladem
Archanielskich dumań dyadem.

Pomnę... jakby dzisiaj pomnę
Owo dziewczę białe, skromne
I rzucone na mnie czary
I — ach! — miłość mą bez miary.
Bo zaledwo ją ujrzałem
Już zapóźno było wracać,
Już zapóźno pod kryształem
W zimnych rosach się zatracać.
Już mię fala nie nęciła,
Ani tęcze, ani piany,
Świętszy rozkaz, wyższa siła
Skuła wolę mą w kajdany,
Czułem, że mi iść z tą panią
W niebo, w piekło — byle za nią!

I poszedłem...
Co w otchłani
Snem czyniła fali mglistość,
To za sprawą jasnej pani
Przerastało w rzeczywistość.
Byłem ptakiem, byłem duchem,
Wszystkom wiedział, wszystkom czuł;
Słońca, gwiazdy wiecznym ruchem
Gorejących sfer i kół
Porzucały przestrzeń ciemną,
Byle przy mnie być i ze mną.
Wichry, chmury, rzeki, góry,
Wszelki człowiek, wszelki zwierz,
Wszystkie światy wzdłuż i wszerz
Szczęścia zazdrościły mi...
. . . .
A dziś — gdzie wy słodkie dni?

*

Znów nad górskim błądzę stawem
Z roztrzaskanem sercem krwawem,
Z duszą dziką, chorą;
Wyciągnąłem z prośbą dłonie
Niech na wieki mię pochłonie
Bezdenne jezioro.
Ale zatop milczy głuchy,
Kiedy się doń zbliżę.
A gdzie były fale chyże
Tam głaz sterczy suchy.
»Więc ty Mnichu, ty mnie przyjmij,
»Ty przyjdź mi z pociechą!«
Prośbom mym podrzeźnia echo,
Szczyt mgłą czarną dymi.
Ach nie będę żył już więcej

Na dnie czystych fal,
Nie powróci wiek dziecięcy,
Próżny serca żal.
I przed burzą nie zasłoni
Kryształowej szyba toni
I nie ujmą mnie w ramiona
Głębie cichych wód —
Czarodziejska baśń skończona
Nie ożyje cud!

MŁODOŚĆ str. 168.

JÓZEF JEDLICZ

Z „LEGENDY POLNEJ“.

SŁOŃCE.

Jest chwila, kiedy słońce znużone wędrówką nad światami, przymruża płomienne oko i schodzi powoli z niebieskich ugorów. W sennem milczeniu skłania jasne czoło, jakby oczarowane niezmierną głuszą błękitnych rozdroży i wtula się coraz senniej i senniej w białe runa mgieł, obramowane matowem złotem.

I wtedy wisi w bezkreśnej otchłani niby stulistny, uwiędły chryzantem. Po chwili budzi się jeszcze z mgławych dum, powstaje pełne dreszczu i siejąc naokół złotem ziarnem, kroczy cicho ponad siwym odmętem granitowych zwałów. Wpatruje się jaskrawie w srebrną światłość śniegów, mruga tajemniczo do bladych szarotek, co kwitną na czarnej turni na kształt opadłych nocą, zamrożonych gwiazd... Uśmiecha się smętnie do czarnych głębi śpiących jezior i nieprzejrzanych ostępów boru. Ale zaraz cofa się z lękiem, bo na siwych wierchach jęły już pełzać szare węże mroków, w srebrnych kielichach kwiecia zamigotały widmowe błyski zmierzchu, w śpiących głębiach poruszyły się czarne potwory nocy, w leśnym ostępie zaszumiała rozgłośnie zbita powódź ciemności i jęła szybko wyrywać się z twardych uwięzi... Więc słońce z trwogą ogląda się na zachód, wpatruje się w odległe ziemie i zaczyna śnić o dalekich

morzach wieczności, które tam, w dali, za ostatnią ławą jasnego lądu przelewają się od gwiazdy do gwiazdy, niezamącone ani szałem, ani rozpaczą, nieme, bezbrzeżne, bezpromienne...

Bo są chwile, iż słońce tęskni za cichą wiecznością i chce usnąć przy słodkim szepcie gwiazd, które trwają od wieków i pamiętają dużo dziwnych baśni. Zaczem niby złoty ptak, zlatuje szerokiem kołem na Orawską ziemię i trzepocąc tęczą żywych, dyszących blasków, zawisa omdlałe nad Babią górą, aby tam ułożyć się cicho na kędzierzawem złotogłowiu chmur.

Ale zanim stoczy się w odległe ziemie, strząsa jeszcze raz mglistą zadumę z ciężkich powiek i spoziera bystro na boży, podtatrzański świat...

. . . .

I patrzy długo, długo purpurową źrenicą, pełne rzewnego rozmodlenia i skruchy. A ogarnia je niemy smutek i żal bezbrzeżny, niewymowny żal... Zaczyna płakać krwawemi łzami, że musi już odejść w odległe ziemie. I wydarł się z krwawego oka i wionął po niebie płomienny szał tęsknicy, głośne łkanie wstrząsa wygnańcem i rozlewa się żarem po sinem złotogłowiu mgieł. Z wydłużonej przędzy sinych błamów ściekają zwolna strugi złotej krwi, to kaskadą złocistą trysną w broczący bezmiar, skrzyżują się na jasnych wodach światła i trwają skrzepłe i zastygłe w ciszy, jak zatrzymane w biegu błyskawice.

A słońce rozełkane i oszalałe bólem, widząc, iż złowieszczy pająk zmroku począł szybko zasnuwać niebo czarną siatką i w ciemnem uroczysku pojawiła się już srebrna tarcza, niby jego własne widmo — runęło nagle ze zrębu skalnego i utonęło w mrocznym oceanie...

Zostały jeno krwawe łzy na niebie, został bezbrzeżny majestat smutku i tęsknicy ogromnej, jakby słońce zgasło już na zawsze.

I długo jeszcze w głuchą noc kwitnie na czarnem uroczysku niebios krwawy łkający bukiet zórz.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Meus. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.

OD REDAKCYI.

»MŁODOŚĆ« ZA SIERPIEŃ NIE WYJDZIE, NATOMIAST UKAŻE SIĘ W POŁOWIE WRZEŚNIA ZESZYT O ZWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI, W CZĘŚCI ILLUSTRACYJNEJ POŚWIĘCONY REPRODUKCYOM DZIEŁ RZEŹBIARZA B. BIEGASA.

BIBLIOGRAFIA:

KAZIMIERZ LEWANDOWSKI. LAIS. KRAKÓW GEBETHNER I SKA 1900.

JAN ZAMORSKI. ZA ZASŁONĄ PRZYSZŁOŚCI. IDEA POSTĘPOWA WIEKU. NAKŁ. STEFANA KOWALSKIEGO 1900.

L. H. SZULCE. GEREN. I. PRAELUDIUM. KRAKÓW 1900.

J. IRI KARASEK. GOTHICKA DUSE. PRAHA. KNIHOVNA MODERNI REVUE.

LE CINQUANTENAIRE DE LA LIBRAIRIE C. REINWALD. PARIS. SCHLEICHER FRÈRES ÉDITEURS.

„PRZEGLĄD ZAKOPIAŃSKI“

ORGAN »ZWIĄZKU PRZYJACIÓŁ ZAKOPANEGO«
TYGODNIK, POŚWIĘCONY SPRAWOM TATR I ZAKOPANEGO

PODAJE:

OPISY WYCIECZEK GÓRSKICH, SZKICE HISTORYCZNE Z DZIEJÓW ZIEMI PODTATRZAŃSKIEJ, ARTYKUŁY I ROZPRAWY O TATRACH, O LUDZIE PODHALSKIM, O STYLU ZAKOPIAŃSKIM, SPRAWOZDANIA Z PIŚMIENNICTWA TATRZAŃSKIEGO, MIEJSCOWE WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, LISTĘ PRZYJEZDNYCH, WSZELKIE INFORMACYE DOTYCZĄCE UZDROWISKA I T. D.

PRENUMERATA ROCZNA 12 KORON

ADRES: »PRZEGLĄD ZAKOPIAŃSKI«, ZAKOPANE.

Cena zeszytu VII. 1 kor.